

BUDOWNICTWO.



PAŁAC SPRAWIEDLIWOSCI W ROUEN.

Na widok zabytku ery gotyckiej, obudzają się natychmiast wspomnienia wojny lub religii, wyobrażenia twierdzy lub kościoła. Zdaje się iż powołaniem architektury publicznej było w ówczas wyłącznie tworzyć warownie lub świątynie, a niekiedy za szczególnym wyjątkiem, fontanny. Rzadkie też to jest szczęście napotkać wśród szczątków owej epoki, gmach, poświęcony podobnie jak ten, którego jedną wystawę przedstawiamy czytelnikom, na zaspokojenie towarzyskiej potrzeby, nie dotyczącej się religii, lub obrony:

Wygności z Rouen przy końcu 12go wieku, w ówczas gdy byli pariasami społeczeństwa europejskiego i jako tacy wyłączeni z pod powszechnego prawa, żydzy, opuszczając miasto, zostawili na własność skarbowi plac obszerny, który zajmowali niegdyś obok ulicy, dotąd miano ich noszącej. Plac ten stawszy się pustym, od trzech wieków leżał nieużytecznie i bez żadnego przeznaczenia, gdy targowisko na nim założono. Katedra służyła w ówczas kupcom za miejsce zgromadzeń; a że ich zgromadzenia niekiedy hałaśne, zakłócały pobożność wiernych, władza nie wypędzając ówczesnych spekulantów ze świątyni,

zmusiła ich przynajmniej do ustąpienia, nowe im otwierając schronienie. Wystawiono na przyjęcie ich (roku 1493) na placu żydowskim wspaniałą salę, nazwaną później salą prokuratorów. Sala ta długa na 170 stóp a szeroka na 50 przedstawia jeden z najsmielszych i najwytworniejszych gmachów całej Europy: nadała ona początek pałacowi sprawiedliwości w Rouen. Gdy Ludwik XII, w chęci utwierdzenia sprawiedliwości na stałszej podstawie, a razem czyniąc zadosyć życzeniom ministra i przyjaciela, kardynała Jerzego d'Amboise, uchwalił, że sąd w Rouen zasiadać ma dożywotnie, chciał ażeby urządzone miejsce dla posiedzeń tego najwyższego sądownictwa i rozkazał wzniesić na placu żydowskim, gmach przytykający do sali prokuratorów. Budowa zaczęta w ostatnich latach piętnastego wieku, wprzódce ukończoną została; roku 1506 sądownictwo już mogło zająć swój pałac, a wkrótce Ludwik XII przybył usławić go swą obecnością.

Pałac ten, który kosztował znaczną jak naówczas sumę, 88,934 liwrow, godny jest światłego opiekuna sztuk, pod którego okiem był przedsięwzięty i ukończony, mieści się wliczbie pomników, któremi z bogactwem się miasto Rouen za panowania Ludwika XII i biskupstwa kardynała Jerzego d'Amboise. Jest to jeden z ostatnich i najpiękniejszych utworów, które sztuka gotycka, bliska zniknięcia, pozostawiła we Francji. Smiały w pomysł i delikatny w wykonaniu, gmach ten nadawszystko odznacza się kształtnymi oknami, ozdobnemi gustowną rzeźbą dachu i lekką wieżą, którą rmiło nazywać nadanem jej mianem *Gabinetu złotego*. Pomnik jest tym szacowniejszy, iż cały należy do jednej i tej samej epoki i nie składa się z cząstek następnie w długich przerwach dodawanych. Dzieło Ludwika XII nie doznało zmiany aż do początku osmnastego wieku. Przydano wówczas do niego całe skrzydło, lecz architekt nie natchnął się bynajmniej wzorem który miał przed oczyma i ani myślał, ani starał się potączyć rozzerwany łańcuch czasu, przez jakowe zręcznie wykonane spojenie, tak, aby oba gmachy zgodną całość tworzyły: poprzestał na wzniesieniu budynku, zimnej i nieznaczącej regularności, tak, iż obie budowle przyczepione do siebie, różnią się najzupełniej kształtem i pomysłem.

Pałac sięgający panowania Ludwika XII, chociaż dosyć szczęśliwie dochowany, uległ jednakże niejakiem zmianom pod dłoń czasu, i niektórym uszkodzeniom zdziałanym ręką ludzką. Część z pod panowa-

nia Ludwika XIV, także ucierpiała. Utraciła ozdobę, okupującą smutną oschłość całości. Było to wspaniałe *al-fresco*, wyobrażające niewinność ściganą przez kłamstwo i chroniące się na tonie sprawiedliwości, którą uwieńczyła wiara. Piękne to dzieło Jana Jouvenet, jednego z najstarszych malarzy wieku Ludwika XIV, zniszczone zostało przez zapadnięcie sklepienia.

Ciekawy pod względem sztuki, pomnik ten wyższe daleko wzbudza zajęcie historyczne względnie do swój daty, zważywszy podwójny cel, w którym go wzniesiono. Przeznaczony zarazem na miejsce zgromadzeń handlowych, i świątynią sprawiedliwości, świadczy usiłowania Ludwika XII, ku wprowadzeniu porządku i regularności w społeczeństwo francuzkie.

MOROWE POWIETRZE NA POKŁADZIE OKRĘTU.

(Dokończenie.)

Dziesiątego dnia, wiatr pomyślny dotąd, ustał nagle i okręt zatrzymał się na morzu. Taki był stan powietrza, że mimo ogromnych bałwanów, któremi w dalekości najeżał się Ocean, okręt podobny był do nieporuszonej skały i przez czternaście dni wciąż na jednym miejscu pozostał. Na domiar nieszczęścia, słońce zwrotnikowe rzuciło prostopadłe promienie na pokład, tak dalece, iż majtkowie spragnieni świeżego powietrza i nie zdolni znieść wyziewów powstających z między-mostu i dolnej części okrętu, czołgali się koło otworów w pokładzie, paleni gorącym z nieba; albo też, jeżeli zastaniali się żaglem, nie śmieli oddychać, aby zarazy z dołu nie wciągnąć w siebie. Było to okropne widowisko! Chorzy wili się w konwulsjach i ochrzypiałym głosem wzywali śmierci! Nareszcie przerażenie zamieniło się w rozpacz, a majtkowie którzy jeszcze mogli wykonywać obrotu, utrzymywali się tylko mocą rezygnacji. Rzekłbyś, że to są umierający, którzy jeszcze ścielą sobie łóżko w dzień śmierci, albo też wołają o śmierć, że prześcieradło, aby czystszyem całunem okryci byli. Myśl ta dręszczem przenika.

Juliusz spoglądał w około siebie, z niesłychaną mocą duszy. Uderzony tą szczytną myślą, że nigdy nie należy dobrowolnie zstępować do grobu, a zwłaszcza gdy los drugiej istoty potężony jest z naszym losem, opierał się na miłości, ażeby nie wpadł w rozpacz. Ach! gdyby wtedy gdzie pospolici mieli czas dostrzedz na jego ustach, ten uśmiech spokojny i łagodny,

straszliwszą, żaden język w świecie nie zdoła oddać tego obrazu kary bożej.

W pięć dni po śmierci chirurga: o ile mógł wyrachować Juliusz wyszedł z letargu, zdało mu się iż obudził się w świecie na którym już się nie znajdował od dawna, i kilka minut upłynęło nim poznał co się z nim dzieje. Był jeszcze na pokładzie, lecz leżał na materacu, w łóżku okrętowym. Przy nim postawiono na ziemi szklankę wina i kawał solonego mięsa. Od razu wypił wino, lecz nie mógł znieść smaku mięsa, gdyż zapewne było tam od kilku dni, wystawione na działanie słońca i zgnitej atmosfery. Jednakże, stopniowo odzyskał zmysły, lecz dla tego tylko, aby najokropniejszy widok zobaczyć.

Słońce uderzając prostopadle na pokład okrętu, rozkładało materye zwierzęce dla pochłonięcia zarazy. Juliusz skoro tylko odzyskał uczucia bytu, zawołał na towarzyszących; potem zatrzymał oddech i nadstawił ucha aby ani jednego dźwięku nie stracić, lecz nie usłyszał ani jednego szmeru, ani jednego odetchnienia. Wówczas, niewystawione uczucie okropności, wstrzymało bicie jego serca i przez kilka chwil pozostał w tém odrętwieniu, w którym nie znać krążenia krwi w żyłach, ani też braku duszy w ciele. Nareszcie, dzięki nadzwyczajnej mocy duszy, zebrał siły umysłu i ciała i wstał z postania.

Lecz jaki widok, o Boże! ujrzał wtedy, w koło niego leżały same trupy, w najdziwniejszych postaciach. Widać było, że śmierć uderzyła w nie jak piorun i tém gwałtowniej, że mniej cierpeli; ich bowiem ciała wpadły w zgniliznę w przeciągu kilku minut. Statek *le Glorieux*, najdzielniejszy ze wszystkich okrętów wojennych, najlepszy do żeglugi, pływiał teraz bezwładny, jak cmentarz oderwany od lądu, albo podobny do uspiętego wieloryba.

Żaden powiew nie poruszał żagłów, zdawało się, że niebo naumyślnie zrząda tę ciszę, aby trujące wyziewy okrętu, zamknąć w ściślejszym obrębie.

Juliusz osłupiał na ten widok; na chwilę zabrakło mu odwagi; rozpaczą przejęty odwrócił głowę i ukrył twarz w postaniu, z którego się podniósł: potrzebował bowiem wypoczynku, po tak okropnej scenie. Po tém, pierwszą myśl podniósł ku niebu, a następnie uzbroidł się straszliwém postanowieniem. Potém wypił dla wzmożenia się, szklankę rumu, któraby go w każdym innym razie odurzyła i zdołał obejrzeć pokład i izdebki, dla zobaczenia, czyli nie znajdzie jakiego konającego któregooby mógł poratować, a nareszcie dla pochowania w morzu, zwłok nieszczęśliwych towarzyszy.

Stopniowo musiał przyzwyczajać się do zatrutego powietrza izdebek okrętowych, a przy tém boleśnie przerażała go ta nieruchomość i cisza grobu, czasem tylko przerywana skrzypieniem drągów masztowych. Juliusz przewyciężył wstręt i obawę; zwiedził długie rzędy postai, jedne próżne, drugie jeszcze obciążone trupami: on sam jeden pozostał żyjący na okręcie.

Juliusz postanowił pochować towarzyszy i zabrał się do tego dzieła. Nie mógł podźwignąć trupa i uczył że musi wprzód sił nabrać. Lecz jakże pozostać żyjącym, pośród tego mnóstwa ciał zgnitych!

Noc zapadła, a wówczas germańska wybraźnia Juliusza puściła wodze marzeniom. „Sam! mówił! sam! jęj nawet nie ma przy mnie!... Bogu niechaj będą dzięki, że nie pozwolił aby płynęła ze mną. A gdy pomyślę, iż muszę cały ocean przebydź dla napotkania ludzi; że co krok następuję na trupa, że gdyby jaki okręt nadpłynął, zostawiłby mię z umarłymi, że nie śmiem oddychać, bojąc się, abym się nie otruił!...?”

Straszliwą była ta noc dla wycieńzonego umysłu i ciała Juliusza. Jlekróciarszczysty połysk przecinał niebo, zdawało mu się, że na pokładzie z pośrednictwem wstaje jeden z trupów okrętowych, a skrzypienie drągów brał za chrapanie umierającego, który gasnącym głosem żąda napoju. Lecz te fantastyczne widziadła poety, ustąpiły rozwadze filozofa, a przecież któżby w takim położeniu nie doznał przerażenia i przestachu?

Prędko odzyskał siłę, jak to się zdarza w tej chorobie, a nazajutrz rano już mógł w morze powrzucać trupy. Nie raz jednakże zabrakło mu sił i usiadł, aby nie upadł zemdlny.

Słońce zachodziło, gdy ostatnie zwłoki zniknęły w morzu. Wtedy Juliusz chciał dopełnić powołania swego, a że znał język towarzyszy podróży, odmówił po angielsku modlitwy za umarłych.

Spijcie, towarzysze moi, rzekł z głębokim smutkiem, spijcie, dopóki nie obudzi was mocniejszy głos, dopóki morze nie odda ciał waszych w dzień ostatecznego sądu.

J domawiając tych wyrazów, ujrzał straszliwe ludojady, które wychylały głowę z wody, upatrując czyli jeszcze nie dostaną jakiej zdobyczy.

Kilka dolnych żagli było jeszcze zwiniętych. Juliusz pomyślał iż trzeba je rozwinąć, wołał bowiem wyrzucenym na skały nieznanego kraju, aniżeli pozostać w tém pływającym więzieniu. Wy-

konał to z nie małym trudem, a potem zszedł na pokład.

Wówczas to, całym siłami duszy, wzywał swoją ukochaną Jrmę; wówczas, prawie gotów uważać się, za szczęśliwego, chciał być podzielać z nią swój statek.

Gdyby przynajmniej umiał kierować okrętem, byłby dzień i noc pracował, zastępując całą osadę; lecz niestety, czuł że nie zdolny jest do tej pracy i tamyśl przemawiała go przestrachem.

Wieczorem oddawał się tymbolesnym myślom, potem kładł się na pokładzie obwinięty płaszczem, a gdy plusk bałwanów uderzał jego ucha, młodzieńcza jego wyobraźnia, oddawała się jeszcze nadziei.

»O Boże! myślał sobie, tej nocy może fala zmyje pokład okrętu i zabierze ostatniego trupa. Tej nocy może, wicher rozbije o skały, mnie i mój okręt. Lecz tam na wschodzie jest anioł, który modli się za mnie, kocha mnie i płacze.

Zasypiał spokojnie i marzył o miłości, dni i tygodnie upływały tym sposobem. Juliusz przestał rachować bieg czasu; spoglądał na widokrąg, bacznie słuchał najgłośniejszego powiewu; potem mierzył żywność nagromadzał obrazy i myśli.

Wiatr zaczął dąć przecieź i co raz to gwałtowniej. Około północy powstała okropna burza. Juliusz wstał i z uniesieniem radości spoglądał na nie.

Jak miło! zawołał: oddychać świeżem powietrzem, słyszeć jak wicher świszcze między linami, patrzeć w widokrąg, z tą nadzieją, iż nareście zobaczę ziemię, ludzi, którzy mnie uratują, albo skałę, o którą się rozbiję i ten okropny stan zakończę.

Biedny Juliusz nie wiedział, że statek źle opatrzony miał dwie niewielkie dziury w dnie swoim i że burza wyrwała pakuły które w części zatykały. Lecz gdy ujrzał że spód okrętu szybko zapełnia się wodą, raz jeszcze spojrzął na widokrąg; a potem powtórzył pożegnania, które wicher uniósł daleko.

W dwadzięścia dni, Juliusz obudził się w wspaniałym apartamencie, którego okna wychodziły na ogrody pełne wonnych kwiatów i drzew pomarańczowych.

Gdy podługiem obłakaniu otworzył oczy jeszcze iskrzące się od gorączki, ujrzał swoją Jrmę, ocierającą pot z jego czoła.

Kapitan galioty holenderskiej, uratował go przy zatopionym okręcie i przywiózł do Lizbony.

G R Y F.

(Sęp Gryf podług Jarockiego).

Długo bardzo, wyraz ten Gryf obudzał w umysłach błahe i niepewne wyobrażenia, i przedstawiał myśli coś nadzwyczajnego. Podobnie jak Krakeny, węże morskie, ptak ten potwornej wielkości znany był jedynie z ciemnych i allegorycznych opisów. Podług jednych pisarzy, skrzydła jego rozciągnięte miały 20 stóp przestworu; podług innych zdolny był unieść w szponach swoich wołu, i zanieść go na pożarcie aż na sam szczyt góry. Przesadzone te baśnie długo zajmowały miejsce rzeczywistych opisów, zwłaszcza wsparte powagą Buffona. Wielki ten pisarz, ognistą obdarzony wyobraźnią, dał się utudzić powabom cudowności, i malując w zapale, utworzył swojego Gryfa z rysów pożyczonych od największych ptaków kuli ziemskiej. Zimniejsze i bliższe rozpatrzenie się, zniweczyło wszystkie te bajki, a Gryf, pod rzeczywistą poddany miarę, utracił kształty olbrzymie; pozostał jednakże, i słusznie, jednym z pierwszych wrodzie drapieżnego ptactwa.

Gryf, mieści się pomiędzy sępami; ma podług wiarogodnych świadectw, dwanaście do czternastu stóp szerokości. Skoro rozwinie potężne skrzydła; długości ma 3 stopy, a prócz strusia przewyższa wszystkie inne ptaki. Głowa jego i część szyi są nagie, podobnie jak u innych sępów. Chropowata skóra, barwy fioletowej, wydymająca się w grzebień na wierzchu głowy, owisała i głębokimi poorana bruzdy, pod szyją wzdłuż której opada, powleka jego oblicze; żadne piórko jej nie pokrywa; kilka tylko kosmyków, rzadkiego i krótkiego włosa, czerwono-różowych, ukazuje się tu i owdzie na policzkach i tyle głowy. Część tę zeschniętą i nagą, nieprzyjemny przedstawiającą widok, która, podług energicznego wyrażenia, zdaje się doskonale usposobioną do zagrażenia się w trupach, zakończa powabnie naszyjnik otaczający szyję w kształcie wianka. Naszyjnik ten utworzony jest nie z piór, lecz z pewnego gatunku puchu, gęstego, jedwabistego, śnieżnej białości, tém świetniejszej, iż zupełnie jest sprzeczna z resztą pierza, które ma jednostajny odcień błękitnawo pięknie czarny, prócz kilku piór w lotach i pokrycia skrzydeł, ubarwionych szaro-perłowym kolorem. Dziób, długi blisko na dwa cale, prosty, mocny, zakrzywiony na końcu zwierzchniej części, czarny jest przy osadzie, a żółty przez całą długość; szpony, długie na cal, są czarne i zakrzywione; oko nakoniec, owalne i o-



G R Y F.

toczone rżęsa, ma odcień szary promienisty. Ta wielkość, kształt i barwy właściwe są Gryfowi który już doszedł zupełnego rozwinięcia; w pierwszej młodości, okryty jest puchem niezmiernie długim, bardzo miękkim, bawełnistym i białawym, który podwaja prawie pozorną jego wielkość; pierwsze pierze którym się potem okrywa jest brunatne. Odmienna względnie do wieku, powierzchowność Gryfa, zmienia się prócz tego i co do płci. Samica, większa od samca, nie ma grzebienia; a powłoki jej skrzydeł zamiast perłowe, są brunatnawe.

Niemając dumnej postawy i odwagi orła, Gryf ma oko nadzwyczaj śmiałe, a jego ruch i chód, chociaż poważne i leniwe, nie są jednakże bez mocy i szlachetności. Najpiękniej się wydaje gdy szybuje w

przestworzu na ogromnych skrzydłach, które, tak silnie trzepoce, iż człowiek wystawiony na poruszenie powietrza, zdziałane jego lotem, może się zachwiać i ogłuszyć. Gdy wycoczywa, siedząc na wierzchołku skały, milcząca jego nieruchomość jest melancholiczna, posępna i groźna.

Najwyższe strefy powietrza, najwybiegłejsze szczyty Kordylierów, są dziedzinami Gryfa, który wówczas chyba zstępuje na równiny, gdy mu żeru na górach zabraknie. Lubi wzbijać się nad chmury, zakreślać okręgi swego złowieszczego lotu w około najstromszych skał wierzchołków; granica jego państwa ustanowiona jest w ogólności na dwa tysiące sążni nad poziomem morza, i przypadkowo tylko zniżają się do punktu, gdzie się kończą śniegi gór Andes. Te zwyczajne Gryfa tak są state,

iz krajowcy pożyczają od nich niektórych wyrażen, na oznaczenie najwyższych mjejsz w górach; zowią je gniazdem albo też obserwatoryum Gryfa. — Tam on życie zaczyna; chimury, śniegi i naga powierzchnia skał są pierwszymi przedmioty które uderzają jego oczy. Goły i twardy głaz przyjmuje jaja samicy, a pisklęta rodząc się, nie znajdują ani piórka, ani źdźbła trawy na którychby wypoczęły ich członki; skrzydło macierzyńskie jedynie chroni je od zimna. Ostre to wychowanie, doskonale usposabia Gryfów do dzikiego życia w górach, i stawia je w najzupełniejszej harmonii z pustemi siedziby, których jedynemi są mieszkańcami.

Gryfy tylko dla polowania zchodzą z siedlisk; bo chociaż się żywią trupami i padłem podobnie jak inne sępy, są również bitne jak orły, i lubią nasycać się łupem który zdobyły siłą i odwagą, i któremu same śmierć zadały. Gdy mu głód dokuczy, Gryf zniża lot i zasiada na czatach na urwiskach skały, zwieszonemi ponad płaszczyznami. Ztamtąd, przez zadziwiającą potęgę wzroku, przebiega niższe piętra, góry i obszerne łąki; jeżeli postrzeże lamę, barana, lub inne zwierze podobnej wielkości, spuszcza się gwałtownie, krępuje go swemi szpony, unosi w powietrze i broczy śniegi szczątkami swój biesiady. Są to najpospolitsze jego czyny. Niekiedy, w chwilach niedostatku, Gryfy gromadzą się aby kupą natrzeć na większe daleko czworonogi, woły, konie. Zwierzęta mało bardzo mają sposobów obrony przeciw Gryfom, które zgromadziwszy się w liczbie pięciu lub szóstu, zagrażają dzioby i szpony w ich szyi i głowie, i zaślepiają ich trzepotaniem skrzydeł; chyba że dopadną lasu, i zdołają uciekać pomiędzy liśćmi i gałęziami. Koń lub wół podobnie napadnięty musi koniecznie uleźć, a wówczas Gryfy rozszarpia ofiarę, i dzielą pomiędzy siebie jej szmaty. Zdarza się niekiedy, iż Gryfy gromadzą i działają zgodnie, skoro postrzegą owce pasące się na równinie. Spuszczają się w niewielkiej odległości od stada, rozdzielają pomiędzy siebie stanowiska, tak aby utworzyły linię zaokrągloną, potem postępują podskakując i bijąc skrzydły powietrze z wielkim łoskotem. Przestraszzone owce kupią się i cisną jedne do drugich; skoro utworzą masę która nie może ani się poruszyć ani uciekać, ani bronić, Gryfy wzbijają się w powietrze, spadają natychmiast, i okropną rzeź rozpoczynają.

Polowanie na Gryfy jest jedną z najlubieńszych zabaw ludów zamieszkujących podnóża Kordylarów. Łowią je na dwa sposoby, bądź na pętlice, bądź przez za-

trucie. W pierwszym razie zabijają wołu, konia, lub inne zwierze dość duże, aby go Gryfy unieść nie mogły; potem składają zwłoki w miejscu odkrytym, a strzelcy, w zbrojeni w węzły ukrywają się w pobliżu. Gryf wkrótce postrzege łatwy łup dla siebie zastawiony; spuszcza się i zaczyna pożerać na miejscu. Strzegą się mocno zakłócić jego biesiadę, i pozwalają mu przesycać się mięsiwem; dopiero wtedy gdy się nażarł do sytu, i obładowany pokarminem próżne czyni usiłowania aby podlecić, strzelcy wypadają na niego ze wszech stron z pętlcami w ręku: rzadko się bardzo zdarza, aby ptak podobnie otoczony, w chwili gdy zaczyna się trawienie, tak pracowite dla żarłoków, zdołał wzbiec się w górę. Po kilku nadaremnych podskokach, pada zawiślany w więzy, pochwycony za szyję i skrzydła. Drugi sposób łowienia mniej przedstawia powabu. Ukrywają w ciebie zwierzęcia porzuconego za przynętę, jakową jadowitą substancją, wprowadzającą Gryfy w letargiczne osłupienie, w czasie którego można je chwycić, bez pomocy na wet pętlicy.

Ogromny łańcuch Kordylarów, który przerzynając Amerykę od południa w całej długości, bieży od przesmyku aż do przylądka Horn, jest jedyną strefą całego świata w której znajdują się Gryfy. Znadto nagły jest przeskok od tych śnieżystych szczytów do menażeryi botanicznego ogrodu w Paryżu; dokazano jednakże zachować przy życiu, przez kilka lat, pięknego Gryfa, w jednej z klatek Muzeum. Jednakże, chociaż miło jest przypatrywać się temu ptakowi, który tak długi czas był celem podziwu, doświadczamy przykrego uczucia, widząc wysilenia które czyni, siedząc na pręcie aby mógł skrzydła rozwinąć i ulecić. Widzimy nieszczęśliwego więźnia powodowanego materialną potrzebą doświadczenia siły, lecz wstrzymanego przekonaniem iż mu zbywa na przestworzu; zatrzymującego się dobrowolnie, w daremnych i ciągle wznawianych zabiegach.

GOETHE.

(Ciąg dalszy)

Dwie próby w rodzaju dramatycznym plany do wielu innych, których nie skończył i nauka sztuk pięknych, do których upodobanie wzbudziła w nim książka Winkelmana; oto były zatrudnienia Goethego, podczas pobytu w Uniwersytecie, dokąd go rodzice na naukę prawa wysłali; a obejrzenie galerii drezdeńskiej, odwróciło go zupełnie od pierwszego celu jego zatrud-

duień; wzmogła się w nim skłonność do hipochondry i niebezpiecznie zachorował.

Zaledwie powstawszy z choroby, umyślił opuścić miasto dla niego tak niekorzystne i powrócić do ojczyzny. Dokonał tego zamiaru przy końcu roku 1768. W domu rodziców znowu w ciężką wpadł recydywę; pewien doktor wyleczył go zniej, lekarstwem zrobionem podług przepisów alchemii; okoliczność ta skłoniła go do nau czania się umiejętności tajemniczych. Nowy doktor Faust, daremnie doświadczywszy wszystkich nauk, chwycił się czar noxięstwa; dnie i noce przepędzał na działaniach tajemniczych, których sam nie rozumiał.

Na wiosnę, gdy odzyskał zdrowie, ojciec chciał go wysłać do Strasburga, dla pozyskania w tém mieście stopni akademickich. Chętnie jego woli dopełnił i spaliwszy wszystko co pisał w Lipsku, prócz dwóch sztuk powyżej wspomnianych, puścił się w drogę.

Skoro tylko przybył do Strazburga, pobiegł zobaczyć stary kościół katedralny, wstąpił na jego dzwonnice, a zachwycony okazującym się ztamtąd widokiem, błogostawił przeznaczenie, że mu dozwolito przez czas niejaki w tak piękném miejscu przebywać.

Tym razem nie zawiodły go szczęsne przecucia; nie stracił na próżno roku, przepędzonego w uniwersytecie strazburskim. Nie rozwodząc się nad szczegółami jego życia akademickiego i nad wiadomościami które tam nabył, powiem tylko, że przy końcu roku został doktorem prawa, a co więcej, był panem dwóch przedmiotów o których już dawno rozmyślał: to jest Goetza i Fausta. »Wkorzeniły się one w mój umysł mówi Goethe i zwolna barwę poetycką przybierały. Życie Goetza, głębokie wrażenie zrobiło na mnie: surowa i prawa fizyonomia tego niepospolitego człowieka, zrodzonego w wieku dzikiej anarchii zajmowała mię bardzo. W dramacie gminnym, którego Faust był bohaterem, znajdowałem nie jedno brzmienie, które się głucho w duszy mojej odbijało. I ia także przebiegłem zakres umiejętności ludzkich; wcześniej przekonałem się o ich próżności; wszystkie moje usiłowania aby znaleźć szczęście w tém życiu, dotąd były daremne. Lubiłem więc rozmyślać nad temi przedmiotami, w moich samotnych godzinach, lecz nic jeszcze nie napisałem.«

Za nim oznaczmy chwilę gdy wstąpił w zawód, który od owego czasu, bez przer-

wy tak pewnym krokiem i z taką chwałą przebiegał, musimy spojrzeć raz jeszcze, na pierwsze dwadzieścia lat życia jego, skreślone w tym krótkim zarysie. Czyliż nie zadziwia ten obraz życia bez dziecinstwa, to powołanie literackie, już się w szóstym roku okazujące? Nie jest to prosty sposób mówienia, ponieważ od tego czasu, można ujrzeć zaród wszystkich jego wielkich pomysłów, które go później wstawiły i ścigać jego nieznaczące postępy, aż do chwili dojrzałości, tak śpiesznej dla innych, lecz u niego przygotowanej z tak daleka, przez młodość w której wszystko miało swoje znaczenie.

Twierdzenie ustawicznie przy nim powtarzane, że Niemcy nie mają gustu, do reszty zniechęciło go przeciw Francuzom; ta świetna gwiazda 18 wieku, Wolter, którą uwielbiał z daleka, bładła stopniami i już miała zgasnąć; ta filozofia o której tyle na świecie mówiono, rozważana bacznie, głębokim przejmowała go niesmakiem.

»Tak więc, mówi, na granicy Francji uwolniłem się od wszelkiego wpływu Francuzów; sposób obejścia się w tym kraju, zdawał mi się nazbyt wyrachowanym, poezyja zimną, krytyka oczerniającą, filozofia trudną do zrozumienia, a jednakże nie zupełną.« — Czytanie i zgłębianie dzieł Szekspira, przejęło go najżywszem uwielbieniem, dla tego autora i silnie nań wpły nęło. Ulubiony swój przedmiot, Goetza, przybrał w postać już oznaczoną: a jednakże tak obszerną że mógł około tego całego wieka cały wiek jego zgromadzić.

Ciągle dręczony potrzebą napisania oryginalnego dzieła, nie ograniczał swoich rozmyślań do średniego tylko wieku; często zwracał je na czas obecny. Lecz trzeba było, ażeby nieprzewidziana okoliczność, nadała formę temu drugiemu przedmiotowi: zdarzyła się w rzeczy samej i Werther wyszedł na świat; »podobny, mówi, do kwiatu, który traci swoją barwę i umiera. Zajmiemy się nim w dalszym ciągu; powróćmy teraz do Goetza, gdyż pierwój był ogłoszony; lecz w przód nim przystąpimy do dzieła, zobaczymy w jakich okolicznościach i pod jakim natchnieniem Goethe je napisał.

(Dalszy ciąg nastąpi)

CENA PRENUMERATY

MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, w KANTORZE GŁOWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiej Nro 476 Lit. D. oraz w winnych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.

na Prowincyi, w Urzędach Pocztowych i po xięgarniach, rocznie zł. 24, półrocznie złp. 13.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.

w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiej Nro 476 Lit. D.